

WIEŚ I DWÓR

1914

nr. 5

JÓZEF NAKONIECZNY

zmarły poseł Ziemi Lubelskiej.

RYCERZ Z POD TRZECH ZNAKÓW

Wydobył z pochwy miecz,
Miecz stary, pełen chwały,
Po dziadach śnać go miał —
Ów miecz, rdzą zjedzon cały.

Odczyścił rdzę i kurz:
Miecz zalśnił jako rzeka.
Wdziął ryngraf na swą pierś:
Od burz i kul opieka.

Radośnie zarzał koń —
Szlachetna krew w nim grała.
I jechał rycerz w bój —
Zaś dusza w nim się śmiała.

A gdy opuszczał dwór,
Dwór dziadów modrzewiowy —
To wyszła matka doń —
Czułemi żegnać słowy.

„Szkoda Twych, matko łez! —
„Bądź zdrowa! Proś-że Boga,
„By w boju był Twój syn —
„Jak wicher i pożoga!”

Gdy minął rycerz wieś —
Szerokie przed nim łany...
Parsknął radośnie koń —
Koń wierny, koń bułany.

Gdy wjechał w ciemny bór,
To zaszumiały drzewa
Zwycięską jakąś pieśń,
Której dziś nikt nie śpiewa.

Gdy minął łąk, i bór,
I rzekę w bród, i góry —
Zoczył rycerzy moc,
Skłębionych w groźne chmury.

Srogi się toczył bój:
Z trzech stron rycerze szyki
Miotają gradem kul,
Siejących śmierć i krzyki.

Na trzech wzniesieniach trzy
Proporce powiewały,
A zaś na każdym z tych
Proporców: Orzeł Biały.

I pierś zakuta w stal,
Rycerska pierś i żyzna —
Wydała głuchy jęk,
Jęk krwawy: „To Ojczyzna!”

.....
.....
.....
.....

XAWERY GLINKA.

Z Cyklu „Pobojowisko”

Szakale.

Oracz.

Pies czujny nie zaszczeka, nie skzypną wierzeje,
Cisza wisi nad wdali wioskami śniącemi...
Szerokie, równe pole. Na skopanej ziemi
Opuszczonej pozycji czernieją transzeje.

Gdzieś tam tylko ostro bagnet zajaśnieje...
Cisza zmarłych udziałem jest, więc leżą niemi,
W bezgwiezdne niebo patrzą oczyma białymi...
Jesienna noc zaczyna błędnąć... Dnieje...

I w świetle świtu blade podnoszą się cienie,
Ktoś czuwał nad zmarłymi w ten chłód nocy lutej.
Poprzez pola wionęło wiatru zimne tchnienie,

O jakiś kamień ostro brzęknął kij podkuty
I szept kobiety spytał cichy, jak westchnienie:
„Czyś tamtemu nad rowem pamiętał zdjąć buty?”

Równe skiby zaorywa jego pług,
Rozkopana równo czarna rola,
Konie siwe równo zwraca u dróg...
O zachodzie czerwienieją się pola.

Zaorywa ode drogi aż po próg.
Złote ziarno się zasieje bez kąkola,
A przy siejbie dopomoże mu Bóg.
Trza siać ziarno, czy dola czy niedola.

W tem przetrwaniu jego moc, jego siła.
Mądrą głowę swą gospodarz-Piast kłoni.
Czy się równo skiba zwała,

Czy też równy jest chód siwych koni.
Gdzie na drodze żółta, świeża mogiła —
Pług unosi w spracowanej swej dłoni.

Henryka Jaroszyńska.

Cz 3717/1944
3/5

Z cyklu „Bajki dla Kasieńki”

WOJNA

„Niech mi pan bajkę znów opowie!..
„Dziecko, nie bajka jest mi w głowie:

dziś powiem prawdę Ci okrutną —
Smutno Ci będzie, bardzo smutno,

z pod Twoich długich rzęs, dziewczyno,
na słodką i warz ły wielkie spłyną

i Twoje jasne, dobre oczy,
kiedy przed niemi się roztoczy

obraz nieszczęścia i rozpaczy,
pytać się będą: „Co to znaczy?

Czy wieś spokojną i ubogą
bezkarnie niszczyć ludzie mogą

i miasta zmieniać w cmentarzyska?..“
(Już widzę, jak gniew z ócz Twych błyska

i z pod Twych długich rzęs, dziewczyno,
ły wielkie, wielkie wolno płyną).

Przez kraj nasz, w ły i bóle hojna,
idzie Straszliwa Pani: Wojna.

Góry i lasy przezwycięża,
niesie ze sobą szczęk oręża,

niesie huk armat, błyski stali,
idzie i wszystko wkoło pali,

a pożar ciągle się rozrasta,
płoną wciąż wioski, płoną miasta

i zamieniają się — niestety! —
w zwaliska, gruzy i szkielety.

Przez lasy, pola i przez góry
idzie majestat jej ponury,

idzie, jak straszna „Śmierć — ottera,
w którąkolwiek z stron spoziera,

gryzącym dymem drogę znaczy
obrazem nędzy i rozpaczy.

Gdzie tylko wionie skrajem szaty,
tam milkną ptaki, wędną kwiaty

i, wyciągnawszy naprzód szyję,
gdzieniegdzie tylko płes zawyjo

gdzieniegdzie, skrywszy się w śladzie,
cierpienia gorzka łza upadnie,

bolesna, twarda łza, a raczej
łez potok bólu i rozpaczy.



Przez kraj nasz, w ból i męki hojna,
idzie Straszna Pani: Wojna.

Idzie z zachodniej Europy
i, zbrojna w rowy i okopy,

w kule armatnie i szrapnele,
trupem dokola kraj nasz ściele

i spada, niby ciężkie brzemie,
na smutną, smutną naszą ziemię.

*

Przez kraj nasz, w ły i bóle hojna,
idzie Straszna Pani: Wojna.

Idzie w bojowej zawierusze
i kładzie się na ludzkie dusze.

ciężarem smutku i rozpaczy —
Krwia, męką swoją drogę znaczy

i nią przepaja żywe łany
i jęczy kraj nasz skołatany.

Idąc, po drodze grabi, łupi,
a za nią idzie zapach trupi,

bo w którąkolwiek spojrzysz stronę,
tam leżą trupy rozrzucone

w ofiarnej, krwawej swej kąpieli
tych, co kochali i cierpieli,

co nieśli życie, nieśli hojnie
i szli na wojnę przeciw wojnie.

*

Przez kraj nasz, w ły i bóle hojna
idzie Straszliwa Pani: Wojna.

I chociaż spada, niby brzemie,
na smutną, smutną naszą ziemię,

choć śle huk armat, błyski stali,
choć wszystko wokół niszczy, pali

i choć pograża w krwi kąpieli
tych, co kochali i cierpieli,

choć drogę swą zniszczeniem znaczy,
obrazem nędzy i rozpaczy:

z spokojem wszystko znoszą ludzie,
bo marzą cud, bo śnią o cudzie,

śnią, że po wojnie świat się zmieni
i błysnie słońce wśród zieleni,

skończą się ły i rozpacz...
udręka...

Więc nie smuć, nie żaluj się, Kasieńko!

Zdzisław Witmir.

Z „MOICH WSPOMNIEŃ“

LEONA LIPKOWSKIEGO.

Pod powyższym tytułem wydany został przed dwoma laty, nieprzeznaczony do handlu księgarskiego pamiętnik senjora znanej, na Podolu i Ukrainie osiadłej rodziny ziemiańskiej Lipkowskich. Obejmuje on długi okres czasu, od 1849 do 1912 roku i obok wspomnień natury osobistej zawiera dużo cennych materiałów do historii życia polskiego na kresach dawnej Rzplitej w ciągu ostatniego półwiecza, zebranych przez człowieka, który brał w niem żywy, wieloletni udział.

Korzystając z uprzejmości Szanownego Autora, z tego materiału podajemy poniżej fragment, dotyczący kontraktów kijowskich w epoce 1863 roku, oraz całkowity ostatni rozdział „Wspomnień“, poświęcony charakterystyce rozwoju rolnictwa i przemysłu rolnego na Podolu i Ukrainie w latach, objętych przez pamiętnik.

Obydwa te wyjątki, po raz pierwszy publikowane a zawierające szereg nader ciekawych, dzisiejszemu pokoleniu mało lub zgoła nie znanych szczegółów, sądzimy, zainteresują specjalnie naszych czytelników na Rusi.

Red.

KONTRAKTY KIJOWSKIE

przed 50 laty.

Autor na początku rozdziału „Kijów“ mówi o swych latach, spędzonych z braćmi na uniwersytecie kijowskim, o życiu studenckiem młodzieży ziemiańskiej, o tem, że studenci-Polacy dzielili się na gminy: ukraińską, podolską i inne, że wśród wychowawców swych wyższa uczelnia nad Dnieprem liczyła w owym czasie dwie przyszłe chłuby literatury i nauki polskiej: Aleksandra Głowackiego (Bolesława Prusa) i znakomitego historyka Rusi, Aleksandra Jabłonowskiego, o tem, że do ciała profesorskiego wszechnicy, dbałej i o rozwój fizyczny młodzieży, należał też „profesor jazdy konnej przy uniwersytecie kijowskim“ (sic!), o stosunkach towarzyskich z domami polskimi i t. d. Wreszcie przechodzi do kontraktów i pisze:

Epoka kontraktowa, która się w owym czasie rozpoczynała około 15 stycznia, była okresem bardzo dla nas pożądanym. Zwykle jeździł wtedy do Kijowa mój ojciec z najstarszym synem Piotrem, a ja, uprzedzony przez ojca listownie, spieszyłem na Padół wynająć dom kupca Malinowskiego, gdzie ojciec mój od szeregu lat się zatrzymywał. Ojciec brał ze sobą swego kucharza i zapraszał do siebie na ten czas bliższych krewnych. Życie kontraktowe ogniskowało się wówczas na Padolu, gdyż na Kreszczatiku oprócz hotelów Angielskiego i później zbudowanego Europejskiego żadnych innych nie było. Znajomi spotykali się w południowej porze w restauracjach i wtedy zaczynały się pertraktacje w rozmaitych interesach. W owych czasach był jeszcze stały teatr polski pod dyktando p. Borkowskiego.

W „Halce“ Moniuszki występowała w roli Jontka *śpiewaczka*, znana ze swej tuszy. Teatr był licznie odwiedzany, lecz i cyrk bywał przepelniony; *great attraction* jednak pozostała sala kontraktowa, tak znana w całym kraju. Budynek piętrowy, w górze zapełniony magazynami wschodnich towarów bławatnych; magazynów tych było do 60. Na dole mieściły się mniej wykwintne sklepy — i tutaj zapach wyprawionej skóry i dziegiu dawał się we znaki. Sala ta inne miała przed laty przeznaczenie. Ponieważ życie kontraktowe koncentrowało się dawniej na Padolu, wszelkie transakcje majątkowe i handlowe odbywały się w tej sali, gdyż i załatwiające te sprawy urzędy na czas kontraktów mieściły się w tym samym budynku.

W tej sali gromadzili się i posiadacze majątków przeznaczonych na sprzedaż i poszukujący kupna dóbr oraz lokaty kapitałów, które tu, na sali trzymano w beczkach, napełnionych srebrem. Opowiadał mi ojciec, że gdy tylko bilans wykazywał nie więcej jak 30 tysięcy rb. długu na majątku, jechał do Kijowa z zamiarem nabycia ziemi, a interesy te odbywały się z łatwością, dziś nieprawdopodobną. Przytoczę przykład: przy wejściu do sali kontraktowej ojciec mój spotyka znajomego, który mu proponuje nabycie trzech folwarków, w pięknej glebie, z lasami: Strzyżawki, Tycheho i Plutyniec, należących do hr. Ledóchowskiej¹⁾. Ojciec mój, rozpatrzywszy plany, wnet się zdecydował na kupno; gdy wieść ta rozeszła się między obecnymi kapitalistami, zanim

¹⁾ Matki Mieczysława, kardynała.

ojciec przeszedł z jednego końca sali do drugiego, już miał pieniądze w gotówce na zapłacenie całej sumy szacunkowej, a właściwe urzędy na miejscu załatwiły niezwłocznie formalności kupna-sprzedaży. Wobec braku banków system powyższy był typowym w przeprowadzaniu transakcji majątkowych.

Po r. 1863 zmienił się zupełnie charakter życia towarzyskiego w Kijowie. Z dawnych polskich domów, które tak łączyły towarzystwo polskie, zostało zaledwie kilka.

Bywały też w Kijowie w czasie kontraktów urzędowe bale u generał-gubernatorów i gubernatorów, na których przeważnie bywały sfery urzędnicze i wojskowe.

RZUT OKA NA ROZWÓJ PRZEMYSŁU ROLNEGO I ROLNICTWA NA PODOLU I UKRAINIE

w latach 1849 — 1912.

Uprawa roli w naszym kraju prawie do roku 1860 odznaczała się na ogół tradycyjną prymitywnością; ugór orano w czerwcu pod zasiew ozimin, a przed zasiewem po zbronowaniu roli w parę koni radlono i dłużono, to znaczy, przechodzono radłami skiby wpoprzek a po zasiewie temi samymi radłami wzdłuż, dając odpowiednią ilość bron do dobrego zarobienia roli. Siejba była ręczna i krzyżowa, t. j. raz siewcy przechodzili łąn wzdłuż, a następnie wpoprzek. Orkę jesienną pod zasiew zbóż jarych czyli t. zw. „ziembi” starano się ukończyć przed zimą jak najwcześniej. Buraki też siano na wyrobionych radłami i bronami „ziemblach”. Zasiew buraków był ręczny: kobiety zasiewały buraki z butelki w przeprowadzonych „znacznikami” bruzdach. Co do nasion buraków cukrowych, były one nieznanego pochodzenia i gatunku. Pierwszy ulepszony gatunek nasion, t. zw. „wilmorenów” w ilości dwóch pudów sprowadziłem od Wagnera z Rygi i w ciągu kilku lat nasiona tego pochodzenia już były na wszystkich plantacjach buraczanych mego ojca. O wydajności cukru tego gatunku buraków nie miano jeszcze pojęcia, gdyż chemików po cukrowniach wtedy jeszcze nie było.

Orka odbywała się pługami, wyrabianymi na miejscu w gospodarstwach przez miejscowych cieśli i kowali; głębokość orki zależała w zupełności od dozoru ekonomów i sumienności parobków. Ulepszone pługi drewniane pokazały się w kraju dopiero około r. 1870; gdy kolej żelazna

z Odesy do Kijowa już zaczęła funkcjonować, zaczęto sprowadzać z Odesy pługi z krzywymi grzędzielami, typu, używanego w guberni chersońskiej przez kolonistów niemieckich. Pług taki, dobrze zregulowany, wymagał tylko jednego człowieka, kierującego końmi, gdyż sam trzymał się linii. Sprowadzano też z Odesy, idąc za postępek, różne typy pługów angielskich i amerykańskich, które jednak u nas okazały się niepraktycznymi i zalegały potem bez użytku składy gospodarskie. W kilka lat potem ukazały się pługi żelazne niemieckie, fabryki Sacka, do głębszej i płytszej orki, cięższe i lżejsze, które dziś weszły w powszechne użycie i w ziemiańskich, i w lepszych włościańskich gospodarstwach; wyrabiają je dziś w krajowych fabrykach narzędzi rolniczych. Tę samą ewolucję odbyły brony i inne narzędzia rolnicze, nie mówiąc już o siewnikach mechanicznych, które zastąpiły zupełnie siew ręczny zboża i buraków.

Pszenica, główne ziarno eksportowe, w stosunku do obszaru ziemi urodzajnej zasiewana była w małej ilości; śmiało twierdzić można, że obecna jej produkcja jest 3 razy większa, niż około r. 1860. Do powiększenia produkcji przyczyniła się na Podolu pierwszą kolej żelazna z Kijowa do Odesy, z liniami Koziatyń-Brześć, Żmerynka-Podwołoczyska i linią do Radziwiłłowa, otwierająca w ten sposób główne rynki eksportowe: Odesę i Królewiec. Ukraina zaś otrzymała linie humańską i fastowską, łączące się z główną linią Kijów-Odesa. Przed zbudowaniem kolei produkty rolne z Podola i Ukrainy przewożono do Odesy na wozach, wielkimi partjami, zwanymi „czumaczkami”. Przewozem tym trudniła się część ludności, t. zw. „czumacy”; wożili oni pszenicę do Mikołajowa i Odesy, a przywozili z portów sól, ryby i towary kolonialne. Wozy czumaków zaprzężone były w woły; posuwały się też bardzo wolno, tem bardziej, że poganiacze, przechodząc przez stepy chersońskie, odkarmiali tam swe woły. Powracając, czumacy często sprzedawali drogo w bezleśnej Chersońszczyźnie swe wozy, a kupowali piękne woły, rasy stepowo-węgierskiej z wielkimi rogami. Chociaż te transporty zboża odbywały się bardzo wolno i pszenica przychodziła często do spichrzów odeskich wilgotna, czumacy, prowadząc transporty i handlując wołami, odznaczała się naogół zamożnością w stosunku do innych włościan. Dobra biłocerkiewskie dla ułatwienia transportu swych produktów rolnych do Odesy na całym szlaku

Z NAD DNIEPRU.



Most łańcuchowy w Kijowie.

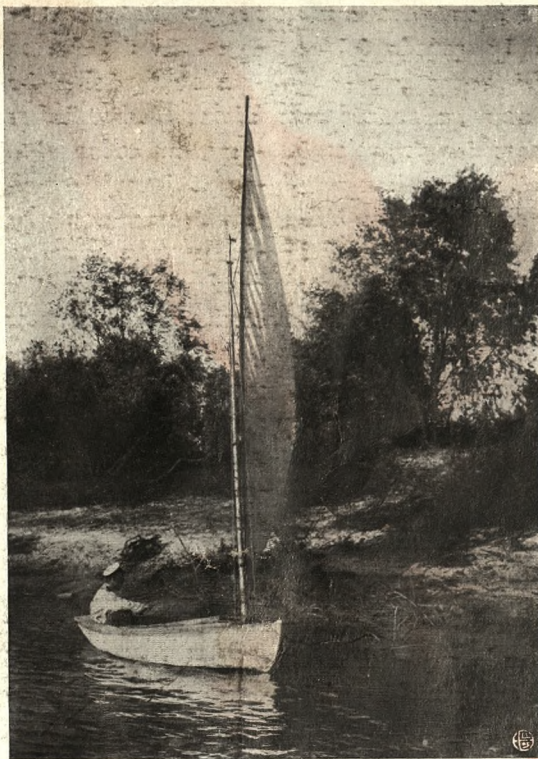
Fot. am. Juliusza Bromirskiego.



Przystań statków w Kijowie.

Fot. am. p. Jezowskiego.

Z NAD DNIEPRU.



Lódź żag'owz.



W zatoce.

Fot. am. Juljusza Bromirskiego.

miały własne magazyny zbożowe. W spichrzach odeskich i mikołajowskich zbierano stopniowo wielkie partje zboża, które ciągle przesuszano.

Handel zbożowy bardzo się rozwinął już w r. 1825, gdyż niektórzy właściciele ziemscy nietylko własne produkty odstawiali do Odessy, lecz skupywali i u sąsiadów, formując większe partje. Przenica, jak wspomniałem, była głównym artykułem eksportu; jednak południowe powiaty Podola w wielkiej ilości produkowały też kukurydzę¹⁾. Około r. 1870 zaczęto uprawiać rzepak, rzepik, mak i groch. Produkcja ta została następnie zmniejszona wskutek zwiększenia plantacji buraków, jednak groch zasiewają jeszcze w większych ilościach dla łatwego zbytu do Niemiec.

Ponieważ dużo ziemi leżało odłogiem, bardziej postępowe gospodarstwa prowadziły hodowlę bydła i owiec hiszpańskich; najsilniej była ona rozwinięta w majątkach wieloziemnych nad Dniestrem.

Przemysł wódczany bardzo był w kraju rozwinęty. Wódka zawsze była w wiel-

kiej ilości konsumowana przez włościan, a gorzelnie były prawie w każdym większym majątku. Okowite 40-stopniową sprzedawano po 25 kop. wiadro, to też pijaństwo w całym kraju było silnie rozpowszechnione i wódka grała dominującą rolę we wszelkich uroczystościach włościan. Powszechna produkcja wódki spowodowała silną konkurencję; właściciele ziemscy budowali karczmy przy traktach na samej granicy sąsiednich majątków, co wywoływało niechęci i niesnaski sąsiedzkie. Wódkę wysyłało też zagranicę: z papierów po mej babce, chorążynie Lipkowskiej, widzę, że wysyłała

wódkę do Mołdawji. Postęp w gospodarstwie rozwijał się jednocześnie z przeprowadzeniem kolei. Nie mówiąc już o wzorowo prowadzonych gospodarstwach w majątkach hr. Bobrińskiego i hr. Branickich, które jednak przed pobudowaniem kolei nie dawały prawie dochodu, z postępów gospodarstw, na których wzorowali się młodzi ziemianie, należy wymienić: dawniej p. Hieronima Sobańskiego w Bałanówce, potem mego ojca w Krasnosiółce, wreszcie mego szwagra, Emeryka Mańkowskiego, który przy pomocy trzech synów, wykształconych na agronomów w uniwersytetach zagranicznych, prowadził racjonalne gospodar-

stwo i przyczynił się do wychowania całego zastępu młodych rolników z rodzin ziemiańskich, jak o tem wspominałem w rozdziale o „Borówce“, oraz u syna jego, również Emeryka, w Krasilowie, gdzie kultura rol- na i administracja postawione były na najwyższym stopniu postępu.

Do roku 1840 znano w kraju cukier, wyrabiany z trzciny cukrowej, a sprowadzany z ko-

lonji angielskich przez Odessę. Konsumpcja cukru nie była wtedy zbyt wielka: herbatę zalecano tylko chorym, cukru zaś używano do kawy, do kuchni oraz trochę do konfitur, które przygotowywano przeważnie na miodzie, jak również smaczne nalewki owocowe oraz makagigi i inne słodczyce, w domu przyrządzane. Gdy zaczęto wyrabiać cukier z buraków, pojawiło się u nas mnóstwo fabryk cukru, nie tylko w majątkach własnych, lecz i na dzierżawach. Były to tak zwane fabryki „ogniowe“, siłę motorową wytwarzały kierały, zaprężone w woły; sok gotowano w kotłach, a syrop krystalizował się w dużych drewnianych lub żelaznych kadziach. Ponieważ

OLEKSANDER OLES¹⁾. MÓJ NARÓD.

Mój biedny lud — obdarty ślepy dziad,
błądzący z lirą od chaty do chaty...

Mój biedny lud — wędrowny dziad garbaty,
zebrząc jałmużny, z płaczem idzie w świat.

Jam synem ślepcy. Nie wstydzę się szmat!
Prowadzę starca w slobody wieśniacze,
a lirnik śpiewa, a śpiewając płacze,
Kiedy wspomina czar minionych lat.

Bracie, ty nie szydź z nas. Za rękę wiodę
siwego dziada w ukraiński step...
w step ukraiński... w słońce... na swobodę.

Ty nie szydź z nas. Pogardy bowiem godne
syny szczęśliwe, syte i pogodne,
gdy ojce ich zebraczy jedzą chleb.

Z oryginału małoruskiego
wolnego przekładu dokonał

JULIAN EJSMOND.

¹⁾ Jeden z najznakomitszych współczesnych
poetów małoruskich. Ur. 1878 r.

¹⁾ Patrz „Pamiętniki ks. Aleksandra Jełowickiego“.

w kraju nie było wtedy dostatecznej ilości cukrowarów, a ci, którzy się za nich uważali, chemji nawet nie znali, wyrób cukru szedł bardzo nieudolnie, produkt był lichy i wiele fabryk po niefortunnych próbach zostało zamkniętych. Bardziej energiczni i zasobni właściciele cukrowni przerobili je z ogniowych na parowe, lecz i te powoli się rozwijały i trzeba było szeregu lat, aby dojść do pożądaných rezultatów. Przemysł cukrowarski najpomyślniej rozwijał się w majątkach hr. Bobrińskiego i ks. Romana Sanguszki. Około r. 1868, gdym zarządzał cukrownią krasnosielską, sok z buraków wyciskano prasą hydrauliczną; potem wprowadzono dyfuzory i filtr-prasy, które przyczyniły się do większej wydajności cukru, tak iż kiedy dawniej 35 funtów z berkowca buraków uważano za bardzo dobry stopień, obecnie berkowiec daje 1 pud i 30 funtów, a czasem i więcej. Cukrownie wskutek fluktuacji cen na cukier przechodziły różne fazy i fabryki często bankrutowały, tak iż kapitałiści jakiś czas bardzo byli zrażeni do tego przemysłu i cukrownictwo upadłoby u nas zupełnie, gdyby nie ogromne zwiększenie się konsumpcji, dzięki powszechnemu użyciu herbaty, oraz unormowanie przez rząd

ilości cukru, wypuszczanego na rynek, co utrzymuje ceny na pewnym poziomie. Pomimo wysokiej akcyzy (1 rb. 75 kop. za pud) i ceny buraków, przewyższającej nieraz 1 rb. 80 kop. za berkowiec, udoskonalenie produkcji, pozwalające wyciągać maximum cukru z buraków oraz wspomniane zwiększenie się konsumpcji pozwalają dziś cukrowniom przerabiać wielką ilość buraków i fabryki cukru dają dzisiaj duży dochód akcjonariuszom. Pierwsze fabryki parowe, które w początkach produkowały od 50 do 100 tysięcy pudów cukru, dziś wytwarzają do pół miliona pudów. Za niekorzystny dla przemysłu cukrowniczego warunek uważać należy przymusową sprzedaż zagranicę nadwyżki produkcji rocznej, co przynosi straty producentom, gdyż cukier na eksport osiąga zaledwie ceny około 1 rb. 30 kop. za pud, podczas gdy na rynku wewnętrznym cena puda z akcyzą waha się między 4 rb., a 4 rb. 20 kop.

W ciągu okresu lat, który pamięcią ogarniam, jak widzimy, przemysł cukrowniczy przeszedł u nas ogromną ewolucję, pokrywając kraj wielką ilością cukrowni, podnosząc przez to i rolnictwo, i dobrobyt ludności.

ŚMIERĆ KATEDRY. (REIMS).

Wrogie działa kończyły swe dzieło zniszczenia,
Piekielnym rycząc śmiechem. Na straży portali
Święci w niszach kamiennych trwają. Już się pali
Wieża — a serce dzwonu jęczy bez wytchnienia.

W snop płomieni się zwolna świątnica zamienia —
Śmierć swym krwawym całunem powiewa z oddali —
I tylko Święci jeszcze stoją tak, jak stali
Przed wiekami — w wysokich swych niszach z kamienia.

Kona dumna świątnica. — Pożar się wciąż szerzy,
Gina zwolna już Święci z przerażeniem w twarzy...
Już tęczowa rozprysła się bajka witraży...

A tam, w górnej galerji, jak szereg żołnierzy,
Broniących swej ojczyzny — Francji dumni króle
Gina śmiercią rycerską, dając pierś pod kule...

ZUZANNA RABSKA.



II. SĄD WYCHOWAWCÓW O LUDZIE WIEJSKIM.

Posiedziawszy trochę dłużej na wsi wielkopolskiej, idę do sekretarza Kółek tamtejszych i do redaktora „Poradnika Gospodarskiego“, p. B... w Poznaniu. Chce mi się pogadać z tym starym działaczem kółkowym o tem, co zaobserwowałam, a czego sama wytłomaczyć sobie nieraz nie umiem. Pan B. jest człowiekiem bardzo miłym, o dużej kulturze — dobrze i ciekawie można z nim gawędzić.

— Proszę pana, dlaczego to u waszych włościan tak nisko jeszcze naogół stoi hodowla bydła?

— Tak, to panią musiało uderzyć; widzi pani, przyczyna jest taka. U nas przed kilkudziesięciu laty wiele majątków dużych prowadziło gospodarstwa hodowlane, choć i dobre, ale bez należytego rachunku—no i ludzie potracili całe fortuny na takiej hodowlanej gospodarce.

Chłop nasz na taką gospodarkę dworów naszych patrzył, zapamiętał ją sobie i do hodowli się zraził—uznał ją za rzecz ryzykowną.

Wkrótce potem zaczęto znów u nas nadmiernie idealizować gospodarstwo bezinwentarzowe, bo znów było tak, że na takich gospodarstwach ludzie się dorabiali szybko: chłop to widział i też z tego zjawiska naukę wyciągał dla siebie.

— Czy niema nadziei, żebyście z tej drogi zawrócili?

— Owszem, od lat paru zaczynamy nawracać do propagowania gospodarki hodowlanej, przede wszystkim wśród drobnych rolników; skłania nas do tego wysoka cena bydła i produktów mlecznych. A jak się pani, tak ogólnie biorąc, przedstawiają nasze gospodarstwa drobne?

— Bardzo wiele, nad spodziewanie moje dużo zrobiliście w zakresie ujednolajnienia dobrej uprawy roli, rachunkowości rolnej, kultury łąk, gospodarstwa podwórzowego, ale hodowla bydła, gospodarstwo mleczne, chów drobiu, sadownictwo, a w dużej mierze i pszczelnictwo zupełnie są u was zaniedbane.

— Zupełnie trafna i ścisła obserwacja. Mogę ją tylko potwierdzić. Na 30 tysięcy gospodarstw drobnych u nas $\frac{1}{4}$ zajmuje się zaledwie hodowlą, i to nie racjonalnie.

Założyliśmy np. niedawno Związek kontroli obór, z myślą o włościanach przede wszystkim, a tymczasem przystąpili do niego ziemianie, zapisując 2000 krów. Chłopskich nie mamy w nim dotąd i 100 krów.

— Pyta się pani o indywidualne żywienie. Włościan, którzyby tak krowy żywili, nie mamy więcej nad 10.

— A co do ruchu mleczarskiego, który po za dźwignią ekonomiczną jest u nas taką dobrą szkołą uczciwości i współdziałania,—u was jakby go nie było.

— A bo go też niema: na całe Księstwo mamy zaledwie 3—5 mleczarni udziałowych.

— Ale zato od wirówek aż się roi po wsiach, a w następstwie takiej gospodarki mlecznej macie też tylko liche masło, wyrobu waszych gospodyń.

— Tak, to wszystko prawda, pod tym względem zostaliśmy na szarym końcu za Galicją i Królestwem.

— A zbiornice jaj?

— Jest jedna przy Izbie rolniczej w Poznaniu, ale skąd nam myśleć o tem, kiedy u nas niema hodowli kur, racjonalnie postawionej.

— Tem powinnyby się zająć wasze ziemianki, tak jak u nas zajęły się—nasze.

Tu nawiasem wtrącam, jak dużo w ostatnich czasach zrobiła pod tym względem p. Stasiniewiczowa, rozbudzając zainteresowanie do sprawy hodowli racjonalnej drobiu w Galicji i w Królestwie.

Powstaje doraźny projekt zaproszenia p. Stasiniewiczowej na kursa włościańskie w styczniu r. b. do Poznania.

Po tym zwrocie wracam do mego wywiadu.

— Widziałam, jak dużo i to kosztownych

bardzo narzędzi mają wasi gospodarze drobni; chciałabym wiedzieć, czy tu jest w użyciu kupowanie narzędzi na spółkę.

— Naogół każdy z naszych gospodarzy kupuje sobie dla siebie siewnik, młynek, a nieraz i żniwiarkę, ale czasem na jakimś zebraniu Kółka rolniczego, jak się rozgadają, to się okaże że oni we 2—3-ch mają siewnik do spółki. Kiedyś mi się przyznali, że nawet droższe pługi na spółkę kupowali.

Tylko, widzi pani, to są rzeczy, o których my tu mało wiemy. Gospodarstwa drobne pod wieloma względami są dla nas samych pełne tajników.

Nasz chłop, co i pani sama zauważyła, ma mniej temperamentu od waszego, jest bardziej skryty, więc nie lubi ujawniać tego, co robi, do pióra ociążały, więc i opisywać tego, co w gospodarstwie robi — nie lubi. Skąd mamy przeto wiedzieć tak wszystko dokładnie, co się robi w jego gospodarstwie i co za zmiany zachodzą w nim samym.

Czasem mamy niespodzianki nadzwyczajne. Naprzykład, niedawno jestem na wsi na zebraniu Kółka rolniczego. Prezyduje dziedzic, jest dużo młodych chłopów, dyskusja ożywiona, widzę, że chłopci rozruszani tam jacyś bardzo. A po zebraniu jeden z nich bierze mnie na bok i powiada do mnie:

— My tu w okolicy chcielibyśmy założyć „Związek młodych włościan“.

— Co? zgłupiałem — ale pytam:

— A bo to nie macie Kółka?

— Nam Kółko już nie wystarcza, my chcemy szerszą robotę wziąć pod siebie.

Pytam się prezesa Kółka, dziedzica, na miejscu siedzącego.

— Co to jest?

— Ja nic nie wiem — odpowiada mi.

I rzeczywiście nie wiedział o niczem, a tymczasem oni się poza jego plecami zmówili, zorganizowali po chłopsku i chce im się związku. Prosił mnie na zebranie, jadę, bo i czemu mam nie pojechać, nie pracować z nimi nad pogłębieniem ich świadomości, tak rolnej, jak i społeczno-obywatelskiej.

Słucham z zaciekawieniem tej opowieści, rzucającej ciekawe światło na stosunki, panujące w Kółkach rolniczych poznańskich.

— Jaki tu macie typ chłopca — przeciętnie?

— Ostrożnego, egoisty. Ma on już dużo wiadomości z zakresu wiedzy rolniczej, ale ta

jego nauka zawodowa kosztowała nas sporo wysiłków w ciągu lat 50.

Niech pani pomyśli tylko: nasze towarzystwo rolnicze dla wieśniaków nie miało przez lat 50 żadnego instruktora, stało ofiarną pracą ziemian tylko.

— I mimo to wychowało typ chłopca-sobka, choć dobrego gospodarza, używającego dobrych narzędzi, nawozów sztucznych, dobrego ziarna, a nawet, jak mi mówiono, orzącego tu i owdzie pługiem parowym — przytakuje mu nie bez pewnej ironji.

— Tak, ale i my sami to już wiemy, że z tym chłopem „sobkiem“ starego typu my już nic nie poradzimy. To jest typ szczątkowy i ten musi wymrzeć, z serca mu tego, my wszyscy, co iść chcemy naprzód, życzymy.

— Czy doprawdy z tego pokolenia starych chłopów uratować już nic nie możecie? My w Królestwie nie przekreślamy zupełnie starych włościan, bo i wśród nich dość często trafiają się dzielni pionierzy nowości.

— Takie wypadki, nawet sporadyczne, u nas są niemożliwe. Nasi starsi chłopci są zakamieniali w swoim uporze konserwatywnym i nic w nich tego uporu nie przełamie. Dopiero z młodych coś być może i będzie z pewnością. Ci młodzi są ciekawi, chcą się uczyć, społecznie pracować, oni, jak się sami czegoś nauczą, chcą uczyć i drugih.

Bardzo dobre wyniki mamy z Kursów rolniczych, od r. 1910 urządzanych przez Tow. Kółek rolniczych.

A ponieważ chodziło nam o odświeżenie wiedzy rolnej nie tylko wśród samych gospodarzy, ale i wśród takich młodych a zdolnych wieśniaków, którzyby następnie urzędy w Kółkach i robotę w nich prowadzić mogli, więc urządzamy jeszcze od r. 1911 kursy 5-cio tygodniowe o bogatym i dość wszechstronnym programie; te kursy pięcioletniowe przygotowały nam już około 200 ludzi, z których każdy posiada kwalifikacje na prezesa Kółka.

Trudno poznać tych, co takie kursy przeszli. W listach, które do mnie piszą, spotykam takie zwroty:

„My jesteśmy teraz, dzięki panu i kursom, innymi ludźmi. Dopiero teraz czujemy, że żyjemy“.

Potem w życiu wsi znać ich pracę.

Kiedyś zajeżdżam do jednego z takich kursistów. Niedziela; myślę, że go zastanę w do-

mu, ale gdzie tam! Poszedł na inną wieś uczyć gospodarzy pogładowym sposobem indywidualnego żywienia krów.

Z innej wsi ksiądz proboszcz donosi mi: „Panie, co się stało z tym Czaplą, poznać go nie mogę: toż to całkiem inny człowiek, odkąd wrócił z wycieczki po Galicji”.

— A wie pan, że i ja tych, co byli na tej wycieczce z panem, poznawałam na wiejskich zebraniach: to byli już ludzie śmielsi, do zabierania głosu skorsi, wypowiadali opinie dobrze przemyślane.

— Ta wycieczka do Galicji dała nam doskonałe wyniki. Skoro pani stąd wraca tam, radzę nie pomijać tych wsi, któreśmy oglądali. Ta wycieczka po Galicji dopomogła mi też do zebrania przez „Poradnik” od drobnych gospodarzy na głodnych w Galicji 10000 marek.

— Widzę, że z pana dobry wychowawca, bo przez budzenie u ludu wrażliwości na cele ogólnonarodowej potrzeby wychowuje pan w wieśniaku obywatela.

Rozmowa schodzi na warunki wewnętrzne, tamujące należyty rozwój drobnej własności rolnej.

— Rakiem, toczącym powoli nasze drobne gospodarstwa i hamulcem postępu w nich — mówi p. B. — są zbyt wielkie „wycugi” dla rodziców. U nas upowszechnił się zwyczaj, że ludzie jeszcze nie starzy, w sile wieku, idą na wymiar, aby nie pracować i żyć wygodnie; ten to ciężar przyniata naszą drobną własność.

Obecnie pracuje się nad tem, by zamienić wymiar w naturze na ubezpieczenie na starość.

— Czy prawdą jest, że Tow. Kółek Włościańskich posiada małe fundusze?

— A naturalnie, że prawda. Nasz budżet nie wynosi więcej, jak 15 tys. marek rocznie.

Niech pani weźmie pod uwagę, że my przez lat 50 nie mieliśmy w Kółkach żadnego instruktora płatnego, dopiero teraz mamy jednego od spraw hodowlanych i jednego ogrodnika.

— Sądząc po instruktorach, widzę, że zamierzacie iść w kierunku podnoszenia zaniedbanych działów, jak chów bydła i ruch spółkowy mleczarski, oraz sadownictwo i warzywnictwo.

— Ponieważ ograniczenia prawne nie pozwalają nam na własnej ziemi rozprzestrze-

niać się wszcz, musimy więc pogłębiać pracę. Musimy starać się o utrzymanie tego, co mamy i o doskonalenie kultury ziemi, musimy rozwijać działy w gospodarstwach zaniedbane, by większa część ludzi, niż dotychczas, na tej samej przestrzeni wyżywić się mogła.

— No i musicie wychować idealniejszy typ chłopa, miłującego ziemię, nie tylko jako warsttat pracy, produkujący złoto, ale i jako podstawę narodowego bytu.

— Takich wychowywać się staramy na naszych 5-cio tygodniowych kursach.

— Za krótki czas na to — robię uwagę.

— Na dłuższe kursy w języku polskim nie daliby nam pozwolenia, bo toby już było podobne do szkoły. Ale proszę przejrzeć punkty moich wykładów — może to panią zajmie.

Wysuwa z biurka szufladę i daje mi zwitek notatek. Noszą one ogólny tytuł: „Sztuka życia” i rzeczywiście zawierają wskazówki niezbędnie potrzebne dla ludzi, chcących wyjść ze stanu pierwotnego barbarzyństwa, w jakim żyje jeszcze wiejska gromada, by się wznieść na wyższy poziom, w którym obowiązują już nakazy moralne i pojęcie honoru.

— Jak to pani znajduje, bo mnie za ten program wykładów niektórzy ludzie bardzo dogadywali. A ja, od tylu lat pracując wśród ludu, widzę pewne, choć powolne, zmiany, w nim zachodzące.

Widzę i ten głód piękniejszych pojęć, które lud odczuwa, a ponieważ to głód godny zaspokojenia, więc sędzę, że dobrze się orientuję, starając się zapełnić tę lukę; gniewano się na mnie, że na kursy dla młodych włościan prosiłem architektów-artystów o wykład: „Architektura i sztuki piękne”, ale ja widzę, że nasz włościanin może się już budownictwem interesować, bo życiem swem stwierdza, że nie chce dłużej mieszkać w niskiej, niewygodnej chacie, nie chce mieć gnojówki przed domem, lecz sadzi sobie coraz częściej kwiaty.

Skoro on się już w takim stadjum znajduje, sędzę, że można mu powiedzieć, co to jest budownictwo, trzeba budzić w nim smak, by umiał sobie urządzić domostwo swoje tak, by było wiadomo dla każdego, kto tam wejdzie, że to jest chata polskiego wieśniaka.



Stefanja Bojarska.

HISTORIA OPATRUNKU

Opatrywanie ran sięga początków istnienia świata. Wynikło niewątpliwie z potrzeby instynktowej: ręka samorzutnym odruchem skierowała się do miejsca zranionego, osłaniała je liśćmi, trawami, korą; nie mniej instynktownym odruchem kierowana przemywała ranę, a potem usiłowała powstrzymać ciecz czerwoną, która z niej płynęła, a z którą uchodziło życie. Tak powstało tamowanie krwi. Potem — opowiada dr. Lejars, wybitny chirurg francuski, oddany dzisiaj całkowicie pielęgnowaniu rannych żołnierzy — zauważono, że rany zablizniają się z mniejszą lub większą szybkością, stosownie do tego, jaki prosty środek był zastosowany — i to był początek całej terapii lokalnej. W miarę rozwoju wiadomości terapii ta stawała się bardziej złożona i „uczeńsza”. Przez długie wieki wszelako była posłuszna zasadzie, że na ranę samą, na tkanki żywe wpływa ten czy ów środek zewnętrzny, taki czy inny sposób nakładania opatrunku i że, drogą oddziaływania na te tkanki, odbywa się leczenie. Tymczasem badania i odkrycia nowoczesne doprowadziły do doktryny wprost przeciwnej, doktryny infekcji.

Opatrunek pierwotny, zewnętrzny, mający na celu tylko osłonę rany, był już potępiany przez Hipokratesa. „Należy porzucić — pisze — bandaż wykwintne, założone teatralnie, które nie służą do niczego, bo to jest nieudolne, zakrawa zupełnie na szarlatanizm i często przynosi szkodę osobie leczonej”.

W Egipcie, na cmentarzysku w Sakkarah odnaleziono grobowiec z czasów szóstej dynastji, czyli około 2,500 lat przed Nar. Chr., ozdobiony

plaskorzeźbami, wyobrażającymi szereg scen chirurgicznych. Ciekawy ten dokument, najstarszy ze wszystkich, opisany w r. 1904 przez znakomitego orientalistę, Maxa Müllera, wyobraża operatora siedzącego, pacjenta zaś w postawie stojącej; jednego z pacjentów trzyma pomocnik, który, przechyliwszy mu głowę w tył, przysłania ręką jego oczy; inny pacjent opiera lewą rękę na głowie operatora. Na puharach, na wazach, na zwierciadłach, pochodzących z w.

V i IV przed Nar. Chr. odnaleziono wyobrażenia takich opatrunków, przy których stosowano bandaż zwijane. Tak np. na dnie pucharu Sozjusza, zachowanego w muzeum starożytności w Berlinie a pochodzącego z okresu waz o figurach czerwonych (V w. przed Nar. Chr.), wyobrażony jest Achilles, nakładający opatrunek Patroklesowi; zaś na zwierciadle, znajdującym się w muzeum uniwersyteckim w Bolonii widzimy Machaona, opatrującego Filokteta, owego legendowego bohatera armji Agamemnona, który podczas oblężenia Troji zranił się w nogę jedną ze strzał zatrutych, otrzymanych od Herkulesa.



Ambroży Paré, słynny chirurg XVI wieku.

Na zwierciadle tem, pochodzącym z IV w. przed Nar. Chr., widać wyraźnie bandaż owinięty starannie dokoła nogi, nadto na stołku, garnek z „balsamem” i gąbkę.

Zresztą w „Iljadzie” i w „Odysei” mamy całą anatomię i całą chirurgię. Dwaj synowie Eskulapa, Machaon i Padalion, uczestnicząc w walkach, opatrywali też rany; posługiwali się roślinami łagodzącymi, gorzkimi korzeniami, różnorodnym balsamem. Agenor opatruje rany Helenusa, posługując się bandażem z wełny. Wreszcie Homer

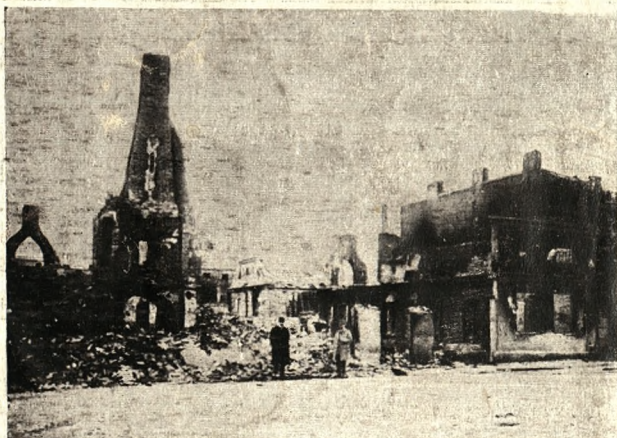
PRZEMYSŁ.



Baszta zamkowa.
Kaplica — punkt obserwacyjny.
Przeprawa jeńców przez San.
Zdemontowane działo w forcie.

W śródmieściu.
Za miastem.
Jeńcy na ulicach.
Okopy i kurytarze podziemne przed fortem.

RUINY KALISZA.



mówi jeszcze o jasnowłosej Agamedzie, „która znała wszystkie leki, jakie żywi rozległa ziemia“.

Znane są jeszcze wyobrażenia opatrunków, historyczne. Tak np. na wazie greckiej, znajdującej się obecnie w muzeum Ermitażu w Petersburgu, a pochodzącej według wszelkiego prawdopodobieństwa z IV w. przed Nar. Chr., widać nakładanie opatrunku na nogi, przy pomocy bandażu zwijanych. Są to dwaj Scytowie, siedzący naprzeciwko siebie: ranny pokazuje język i powstrzymuje lewą ręką rękę prawą operatora, który prawdopodobnie ścisnął nadmiernie zranioną nogę, owijając ją bandażem. Między wypukłorzeźbami kolumny Trajana w Rzymie jest „stacja ratunkowa“ legionu rzymskiego: jednemu wojownikowi nakładają opatrunek na ramię, innemu na biodro; temu ostatniemu bandaż nakładany jest na spodnie, co, jakby się здаwało, wykazuje, że chodzi o powstrzymanie krwotoku.

Przytoczone powyżej przykłady ujawniają odległe bardzo początki sztuki opatrunkowej; w pierwszych dziełach medycznych, w pismach Hipokratesa i Galena znajdujemy całą technikę opatrunku. Hipokrates opisuje bandaż, ich długość, szerokość, zaleca sposób, w jaki mają być stosowane, wymienia, jaki ich rodzaj winien być użyty przy opatrunkach głowy, a jaki do rąk, czy nóg. Galen powtarza i rozwija przepisy swego poprzednika a przepisy te są ściśle przestrzegane przez chirurgów w wiekach średnich i w epoce odrodzenia. Do początków wieku ubiegłego ten opatrunek zewnętrzny zachował swoje znaczenie. Dopiero w toku wojen Rewolucji i cesarstwa konieczność zmusiła chirurgów wojskowych do uproszczenia bandażu, do posługiwania się dla osłony ran tem, co było pod ręką: chustkami, szczątkami odzieży, szalikami i t. d. Ta nowa metoda została usystematyzowana później, w r. 1841, przez Mayera z Lozanny w jego „Chirurgji uproszczonej“; i odtąd piszą o niej i stają w jej obronie autorowie rozpraw z dziedziny chirurgji w armji.

Dzisiaj stosowanie bandażu z tarlatanu — zwilżonych — rozpowszechniło się wszędzie, zaś dawny bandaż płócienny został prawie zupełnie zarzucony.

Zasadą podstawową opatrunku, która przetrwała do Pasteur'a, są środki, działające miejscowo, dzięki którym następuje gojenie rany. Jak wiadomo, antyseptyka i aseptyka to zdobycze ostatnich dziesiątków lat; niemniej jednak między przeróżnymi maściami i „balsamami“, od lat najdawniejszych stosowanymi, niemało było takich, które posiadały właściwości przeciwnie, co przyspieszało gojenie się rany, a z czego lekarze i chirurdzy, jako właściwości tych nieświadomi, nie zdawali sobie sprawy, pomyślny przebieg leczenia innym zupełnie przypisując przyczynom.

W historii chirurgji jest cały szereg zaczątków metody nowoczesnej.

Tak np. Hipokrates, między innymi zaleca: „W każdej ranie świeżej ważny jest mniejszy lub większy wpływ krwi, przez co rana sama oraz części ją otaczające mniej się zaogniają“. — Rola krwotoku pierwotnego, który obmywa i dezynfekuje, jest dobrze znana. „Nie należy zwilżać ran, chyba winem. Stan suchy jest



Achilles opatruje ranę Patroklesowi.

(Z pucharu Sozjusza).

bliższy stanu zdrowego, zaś wilgoć bliższa jest stanu chorego“. Czyż w tych prostych wyrażach nie zaleca mistrz z Kosu opatrunku suchego? Píše też Hipokrates, że ocet, zwłaszcza zaś ocet słony, dobrze oddziałuje na rany świeże; chwali wodę morską. „Rany rybaków na przykład“ — dodaje, — „nie ropieją nawet, chyba, że ich się kto dotknie.“

Oprócz maści, przetworów metalicznych, których oddziaływanie dezynfekcyjne jest niewątpliwe, — mikstur, plastrów, niemałą rolę odgrywały w dawniejszej chirurgji rośliny „gojące“. Ciekawych danych co do tych ostatnich dostarcza historia Meksyku. Gdy Cortez wtargnął na ziemię meksykańską w r. 1509, kraj ten nie mógł być mieć uprzednio żadnych stosunków z Europą i nie mogła się tam przedostać żadna tradycja grecka czy rzymska. Pomimo to sztuka lekarska

była już tam bardzo rozwinięta a liczne zwłaszcza były rośliny używane do leczenia ran i chorób. P. Baffour, w rozprawie p. t. „*La Médecine chez les Mexicains près-Colombiens*” (r. 1906) wylicza 219 odmian tych roślin.

Wprowadzenie broni palnej wytworzyło nowe praktyki lecznicze. Rany, przez tę broń zadawane, szerzyły przerażenie, przypisywano prochowi groźną jadowitość. Nie była to jeszcze infekcja w rozumieniu dzisiejszym, ale było to już pierwsze pojęcie o zewnętrznym zakażeniu rany; a doprowadziło do leczenia barbarzyńskiego, które utrzymało się przez czas długi. Zastosował je pierwszy i utrwalił Jan de Vigo, chirurg papieża Juliusza II, polegało zaś na wypalaniu wrzącym olejem ran na wojnie otrzymanych. Ambroży Paré, słynny chirurg XVI wieku, odrzucił takie torturowanie rannych, a zniewolił go do tego zrazu przypadek. Podczas wyprawy Francuzów na Turyn (1536) zabrakło oleju i Paré był zmuszony zastąpić go mieszaniną żółtek, olejku różanego i terpentyny. Gdy przekonał się, że ranni, w ten sposób opatrzeni, słabe odczuwali ból, że rany ich nie zagoiły się, a dokoła nich nie było ropienia — zaś nieboracy, olejem wrzącym leczeni, gorączkowali, znosili okropne cierpienia a dokoła ich ran utworzyły się ropienie — Paré postanowił raz na zawsze olej wrzący z chirurgii usunąć.

W tymże wieku XVI-tym Le Paulmier (z Caen) i Veyras odrzucają tampony z szarpi, które zapobiegały zasklepieniu się ran, środki, wywołujące ropienie, kataplazmy i opatrują rany tylko wywarem roślin ściągających, gotowanych w winie, a do wywaru tego dodają jeszcze octanu miedzi, boraksu, sublimatu. Jest to też antyseptyka, ale zawsze jeszcze antyseptyka bezwiedna, niezupełna i niewystarczająca. W tym samym okresie czasu grono lekarzy empiryków zastąpiło czystą wodą studzienną wszystkie leki i wszystkie plastry, a skutki tej metody prawdziwie przewrotowej były takie pomysły, że nawet Ambroży Paré uznał jej użyteczność. Działanie lecznicze tej czystej wody polegało z jednej strony na lepszym oczyszczeniu ran, z dru-

giej zaś, ponieważ była zupełnie lub prawie wyjałowiona, przeto nie wywoływała wtórnego zakażenia ran, wreszcie nie wywierała szkodliwego wpływu na tkanki i na życiowe reakcje obrony.

Przyczyny analogiczne tłumaczą niespodziewany wynik opatrunków miękkich, które Włoch Magatus zaleca w książce swojej „*De rara medicatione vulnerum*” (r. 1616) i których broni następnie Bellestre. Był to nowy przewrót w technice opatrunkowej. Dotychczas bowiem uważano, że opatrunek powinien być jaknajczęściej zmieniany a rana codziennie starannie oczyszczana; odtąd miano ran nie dotykać wcale lub, o ile można, najrzadziej, dzięki czemu zmniejszyła się znacznie ich infekcja. W końcu w. XVIII porzucano esencje, spirytus, sole srebra, miedzi i rtęci, stosowane od najpierwszych czasów chirurgii i używano prawie wyłącznie do opatrunków szarpi i płótna, cerotu (maść), kataplazm. To panowanie tłuszczów, łatwo fermentujących, trwało przez znaczną część wieku ubiegłego a było, jak stwierdzają odnośne bilanse chirurgiczne, zgubne, powodując skomplikowane infekcje ropne.

Najdonioślejszy i najzupełniejszy przewrót w systemie opatrunkowym wywołało stwierdzenie infekcji zewnętrznej, przenoszenie zarazków za pomocą rąk, bielizny, narzędzi. Le Fort, Tarnier i Semmelwein tym czynnikom przypisywali gorączki połogowe i chirurgiczne. Był to pierwszy promień — dalsze odkrycia przyniosły pełne światło; wykazały, że mikroby, roznoszące zarazki, znajdują się wszędzie, że, chcąc się od nich obronić, należy ochraniać ranę od stykania się ze wszystkim, co nie było uprzednio wyjałowione. I na tej podstawie powstała antyseptyka — już zupełnie świadoma — związana z nazwiskiem Józefa Listera, jak szczepienie ospy wiąże się z nazwiskiem Jennera. Stopniowo chirurgowie porzucali pierwotnie stosowane środki dezynfekcyj-

ne—kwas karbowy, jodoform, sublimat — i na dzisiejszy, kunsztowny w wielkiej prostocie swojej, opatrunek ran już nie antyale aseptyczny, składa się jodyna, gaza wyjałowiona i wata hygroskopijna. Br. N.



Scyta opatruje rannego towarzysza.

(Z wazy greckiej w Ermitażu).

Gdzie cichy gwarzył sad...

O usta moje, gdzie wasz słodki żar,
Gdzie twoich dłoni — jasny — wonny kwiat —
.....
jak pomruk burzy wojska głuchy gwar —
kopyta końskie stratawały sad...

Słońce zachodzi nad płaszczyzną pól,
sen się ułudny i promienny śni...
.....
jaśminy łamie grad morderczych kul,
powoli w ziemię morze wsiąka krwi...

Pośród ogrodu szmaragdowych wnęk
usta miłosny brały z sobą ślub...
.....
w ciszę się wdziera konających jęk,
żołnierze kopią dla poległych grób —

Dzwonił słowików tęskny, cudny śpiew
i wody srebrzył księżycowy blask...
.....
mogiła skryta pod koroną drzew,
krzyż na mogile i ułański kask...

.....
.....
nie tykać lepiej krwawych, świeżych ran —
zasłały trupy wkrąg pszeniczny łan...

Nic nie powróci utraconych snów,
szczęście odeszło w bezpowrotną dal
.....
nowe do walki idą pułki znów.
ostrogi brzęczą, lśni bagnatów stal.

Poemat przerwał zgrzyt zerwanych strun,
tak chcieli ludzie — tak widać chciał Bóg...
.....
w nocie czerwone od pożarnych łun
we krwi się pławi najeźdźca i wróg —

Wspomnisz za wiele może, wiele lat
kiedy cię życia znój zmęczy i trud,
.....
że gdzie był kiedyś kwietny, cichy sad,
tam dziś mogiły i cmentarny chłód.

Przypomnisz, może, sen umarły mój
o tobie, śniony wśród liljowych bżów...
.....
za tych, co młodzi w krwawy poszli bój,
wieczorną porą jeden pacierz zmów...

.....
.....
nie tykać lepiej krwawych, świeżych ran —
zasłały trupy wkrąg pszeniczny łan...

JAN SOKOLICZ-WROCZYŃSKI.

Msza trzeciego maja w kościele Marjackim.

FRAGMENT.

Cisza była w kościele wielka
i upojna oczekiwaniem...
— ksiądz wznosił Hostję,
bez szmeru chyliły się głowy,
jakby w ciężkim smutku przygięte,
a inne dźwigały się w górę
z spojrzeniem, żebrającem cudu.
— I pokłoniły się sztandary
z szumem wielkim, jakoby skrzydeł
lecących — i odlatujących,
aż umilkły klęczące u stóp
Chrysta. — A lud czekał powrotu...
Lecz odleciały były — one
duchy-rycerze, co z dawnych lat
dzierżyły honor sztandarów; —
boć w rękach dzisiejszych hetmanów,
ostało jeno gołe drzewce —
i przeto odleciały smutne.

A lud rozszedł się do domów swych
wątpiąc, gdyż nie było w nim siły,
aby mógł budować z pracy swej.
Wolał on, założywszy ręce,
czekać cudu; jęczał i płakał
nad dolą swoją, miękcył ducha,
dawał łzy — za czyny. On! niegdyś
wielki!

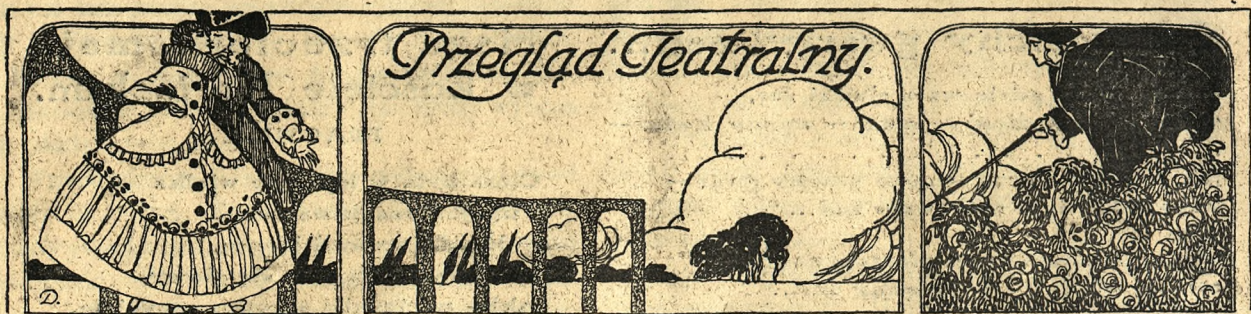
A w odlatującym poszumie
skrzydeł głos był jeden: do czynu!
Do czynu! wołały lecące,
Do czynu! szeptały sztandary,
Do czynu! już konało z echem!..
Ale lud ten nie słyszał głosu,
bowiem sam zamknął sobie uszy
wygodnem lenistwem.

Biada wam! —

Biada narodowi waszemu
i wodzom waszym! — Aż do chwili,
kiedy uszy i serca sami
otworzycie; a ręce dacie,
aby uczyniły przymierze
pracujących; aż odwrócicie
twarze: od nędz i nieszczęść własnych,
a ból — uczynicie hartownym —
jak stal — i oprzecie się na nim,
jak na orężu! A miecz ten
nie pryśnie i rdza go nie stoczy,
a oręż ten da wam zwycięstwo!

1913 r. maj.

JANINA MŁYNARSKA.



Po przedstawieniu „Dziadów” Mickiewicza w Teatrze Polskim wśród krytyków przeważało zdanie, że jednak tego arcydzieła naszej literatury romantycznej zgoła na scenie ukazywać nie należało. Podniebna fantazja wieszczka, zda się, zniżyła lotu, skoro stanęła przed nami w jakiejś ograniczonej kształtami rzeczy ziemskich rzeczywistości, zda się zmalala w oczach naszych sam Mickiewicz, skoro natchniony arcytwór ducha Jego ośmielono się ukonkretnić przez malowane dekoracje, akcesoria teatralne i teatralną machinerję, oraz grymas gry aktorskiej. Pomimo chwalebnej staranności, z jaką dyrekcja dzieła największego z poetów polskich wystawiła, pomimo szczerego pijetyzmu, z jakim artyści role swoje odtwarzali, ciągle raziły jakieś niedociągnięcia, czy przeciągnięcia, ciągle odczuwaliśmy przykry zawód, że przecież zrealizowana w teatrze wizja poety niesłuchanie w swej istocie poetyckiej daleka jest od wizji, jaką w duszach naszych wywoływały natchnione jego dzieła w czytaniu. Tamta, zrodzona magicznem zaklęciem słowa bujała wolno w bezkresach nieskończoności, nieujęta w formy, nienazwana imieniem, nieokreślona czasem i przestrzenią, jeno wszechobecna w naszych dumach i tęsknotach, jeno widzialna w naszych marzeniach, jeno wyczuwana w naszych bólach i nagle uwięziono ją w trójwymiarowości widowiska trwającego określoną ilość godzin, zamknięto w ramy konstrukcji architektonicznej, oświetlono elektrycznością. Mieliliśmy ją już nie w sobie, lecz przed sobą, pokrajaną przez podnoszącą się i opadającą kurtynę na pojedyncze obrazy, które oddzielały od siebie mniej lub bardziej długie, urozmaicone mniej lub bardziej potoczną rozmową, antrakty. Wielka wizja znikała, w naszym odbiciu uczuciem traciła swą ciągłość i siłę, natomiast zaś w pojedynczych obrazach zjawiały się przedmioty i postaci, o kształtach przykro wypaczonych — postaci, powiedziałbym poprostu, źle namalowane.

Mickiewicz z natury swego talentu nie był pisarzem scenicznym. Jedyna próba w tym zakresie, to jest „Konfederaci” — rzecz napisana z wyraźnem przeznaczeniem dla teatru, zawiodła najzupełniej. Niewątpliwie jednak, prawie z całą pewnością twierdzić można, że wiekopomny swój poemat „Dziady” tworzył bez zamiaru wystawienia go kiedykolwiek na scenie. Jeżeliby nawet przypuścić, że zgodnie ze wskazaniem wojującego romantyzmu, który w onczas z całą bezwzględnością młodej szkoły występował przeciw rygorom starych formuł akademickich, poeta w myśl zasady „łam czego rozum nie złamię” pragnął narzucić teatrowi widowisko, tak radykalnie wyłamujące się z pod prawa trzech jedności i tego wszystkiego, co obowiązywało teatr klasyczny, tak dalece odmienne i w niczem niepodobne do wszystkich wzorów dotychczasowych, że umyślnie nie liczył się z warunkami sceny wogóle, to dziś, obiektywnie biorąc, musielibyśmy to poczytać za błąd, wynikający z zaślepienia stronniczego. Ale Mickiewicz zbyt wielkim był artystą, ażeby uleść podobnej słabości. Przydarzyć się to mogło w owej epoce, jak zresztą w każdej innej jedynie twórcom mniejszego kalibru. Jedynie epigonowie uderzają na oślep w ton modnych hasła i tą drogą zdobywają rozgłos doraźny, ale głucho się koło nich czyni, z chwilą, kiedy przemijają modne hasła. Wielki talent ma w sobie samą miarę nie pozwalającą popełnić błędu, który miałby dzieło pozbawić trwałości. Nie, stanowczo, Mickiewicz nie pisał „Dziadów” na scenę. W przeciwnym razie, niewątpliwie utwór swój takby skonstruował, że dla zastosowania go do teatru nie potrzebne by już było współpracownictwo Wyspiańskiego, jak to się rzecz miała w wypadku obecnym.

Tak jest. Mickiewicz nie myślał o przedstawieniu teatralnem, kiedy, dajmy na to, w „Dziadach” tworzył wizję dziedzica szarpanego przez ptaki drapieżne: epizod ten, jako scena teatralna przedłuża się nadmiernie, a przez monotonię gwał-



„Dziady” Mickiewicza, w inscenizacji Wyspiańskiego, na scenie Teatru Polskiego.

Fot. Malarski i Tavrell.



„Komedja omyłek” Szekspira na scenie Teatru Polskiego.

Fot. Malarski i Tavrell.



Frenkiel, jako Dyogenes.

„Dyogenes z Synopy i Aleksander Wielki” Wacława Grubińskiego w Rozmaiłościach.



Osterwa, jako Aleksander Wielki.

(Fot. Wł. Szyblewski).

townych ruchów staje się wręcz męczący. Nie podobna winić o to artystów. Nie wyobrażam sobie, ażeby znaleźli się na świecie tacy, którzyby scenę tą zagrać mogli zadawalająco, a to z tej prostej przyczyny, że rzecz zasadniczo do interpretacji aktorskiej się nie nadaje. Poeta w fantazji swojej począł i w wierszu nam przekazał wizję upiornych ptaków nocnych z ich ptasim łopotem skrzydeł i ptasiem złowrogiem krakaniem, nie zaś jakąś koncepcję antropomorficzną, którąby mogli uosabiać odpowiednio ucharakteryzowani i ukostjumowani ludzie-aktorzy. Tak nam się utrwaliła ona w wyobraźni przez pierwotną sug-

gestję, płynącą od utworu przeczytanego. Siła sugestji jest tajemnicą twórców. Siła sugestyjna twórczości mickiewiczowskiej jest przeolbrzymia.

Nic też dziwnego, że, pozostając pod czarem tak potężnej sugestji poetyckiej, w teatrze odczuliśmy jakby zmniejszenie jej napięcia, a stąd ową deceptję estetyczną.

Przytoczyłem dla przykładu epizod względnie łatwy do ujęcia. Jest natomiast w widowisku momentów podobnych bardzo wiele, — momentów mniej uchwytnych, ale niezmiernie w znaczeniu doniosłych, które też tem silniej deceptję zwiększają.

Z tego stanowiska rzecz biorąc, wypadaloby może, że istotnie „Dziadów” na scenie wystawiać nie należało, gdyż utwór traci przy tem niektóre ze swych wartości. Powinien on pozostać tem, czem był w koncepcji autora, to jest poematem do czytania, a nauczyliśmy się Mickiewicza czytać w najwyższym skupieniu ducha.

Jestto jednak stanowisko wyłącznie estetyczno-literackie — stanowisko poetów, dramaturgów, po części aktorów, a przedewszystkiem krytyków teatralnych. Publiczność zachowaniem się swoim wyraziła mniemanie odmienne. Publiczność ta wysłuchiwała sztuki, niby jakiegoś szanownego misterjum narodowego z powagą i namaszczeniem, a opuszczała teatr podniesiona na duchu i w wierze polskiej umocniona. Są bowiem w arcydziele Mickiewicza wartości mocne, niezniszczalne, bo leżące nietylko w formie zewnętrznego wyrazu artystycznego, lecz w najgłębszej treści gorących wieszczów uczuć i myśli cnotliwych, a te mimo wszystko pozostaną dla Polaków chlebem błogosławionym na zawsze.

Z tego zatem znowu stanowiska przypomnienie szerokiemu ogółowi utworu Mickiewicza, w tej właśnie formie uznać musimy za wydarzenie ze wszech miar pożądane, i zgodzić się, że Wyspiański inscenizacją „Dziadów” oddał literaturze naszej istotną przysługę, teatr zaś Polski, przedstawieniem tem spełnił dostoyny czyn obywatelski.

Mimo pewnych zastrzeżeń czysto literackich była to rzecz piękna i pożyteczna.

Artyści, jak na wstępie zaznaczyłem, nałożone na siebie zadanie podjęli z prawdziwym pietyzmem. Rolę Gustawa-Konrada z wielką siłą uczucia wykonał p. Brydziński. Ks. Piotrem był p. Sosnowski, Marylą p. Duninówna. Wszyscy inni tworzyli zespół harmonijny.

Przedstawienie „Dziadów” należy stanowczo do najpoważniejszych wydarzeń teatralnych doby.

Teatr Rozmaitości wystąpił ostatnio z premierą polskiej sztuki oryginalnej, ale wystąpienie było mniej fortunne. „Kwintet” Czesława Halicza upadł dość stanowczo. Po trzecim przedstawieniu utwór znikł z afisza bezpowrotnie. „Kwintet” nagłym tym upadkiem pociągnął za sobą, dodany, jako dopełnienie do spektaklu, dIALOG jednoaktowy Wacława Grubińskiego „Dyogenes i Aleksander Wielki”, i obu tych sztuk na scenie ujrzeć nie zdążyłem. Jak z ocen ogólnych wnosić można, dIALOG p. Grubińskiego posiada istotne wartości artystyczne, spotkał go więc los niezasłużony. Przypuszczać należy, że dykcja teatru Rozmaitości znajdzie jeszcze niejednokrotnie sposobność wprowadzenia tej jednoaktówki na repertuar, ażeby powetować autorowi mimowolną krzywdę, a mnie dać możność napisania obszerniejszego sprawozdania o dobrej sztuce polskiej.

T. Jaroszyński.

Z PRASY POLSKIEJ.

W № 99 *Dziennika Kijowskiego* w artykule wstępnym pod tytułem „Z nakazów realnego patriotyzmu” redaktor tego najwybitniejszego organu prasy polskiej na kresach, Edward Paszkowski porusza arcyważną sprawę: nadania akcji ratunkowej dla Galicji wschodniej właściwego charakteru przez udział w szerokim zakresie polskich kapitałów kresowych w organizacji życia ekonomicznego tej zrujnowanej przez wojnę części Polski. Podajemy poniżej ów głos kompetentny, pełen patriotycznej troski obywatelskiej w ocenie krytycznej sytuacji gospodarczej w Galicji wschodniej i rozumnych rad, jak jej zaradzić.

Okupacja wschodniej Galicji otworzyła bogaty rynek dla ekspansji handlowo-przemysłowej i bogate tereny dla eksploatacji tam na miejscu, gdzie poza obrębem spraw i rzeczy „politycznych” z każdym dniem rosną i krzepną sprawy i rzeczy natury ekonomicznej, czekające na chętną dłoń i na niezbędne w takich warunkach kapitały.

Pole duże i zadania nie małe, stroną materialną bynajmniej wyczerpać się nie dające.

Czy potrzebuje to określić bliższych?

Zważmy, że okupacja wysadziła z siodeł dziesiątki tysięcy nie ludzi, lecz rodzin; zmieniła absolutnie warunki dotychczasowej ich egzystencji; postawiła w postaci nakazu kategorycznego konieczność zasadniczej zmiany sposobów i środków zarobkowania; wreszcie stworzyła taki zespół okoliczności, który olbrzymią większość tych rzetelnych dziś nędzarzy ściska żelaznym obręczem przymusowego bezwładu.

Stan iście rozpaczliwy.

A dokoła — jeno ręką sięgnąć — niewyczerpane możliwości nietylko wyjścia z nędzy, lecz i polepszenia materialnego bytu, nawet w porównaniu z przeszłością.

Bliżkie stosunki w ciągu niemal półrocza z okupowaną częścią kraju dały nam szereg bardzo dodatnich spostrzeżeń dla oceny wartości, że tak powiem, roboczej i przedsiębiorczej tych wielokrotnych tysięcy tamtejszych naszych rodaków, których huragan wojny wykołosił, zniszczył — lecz nie zdeprawował i energii przemysłowej nie pozbawił.

To nie są ludzie przez katastrofę w bezładną czeredę płaczących Jeremiaszów przeobrażeni. To nie jest nędza, która tylko ręce o pomoc wyciągać potrafi. Wreszcie i ten tak osławiony kwietyzm biurokratyczny pewnych grup społeczeństwa galicyjskiego okazał się przesadą i prawie oszczerstwem.

Ludzie tam prężą się w sobie, z połamaniem życia walczyć pragną i — walczą. Na każdym kroku spotykamy tam wysiłki podkreślenia godne, a w sferach handlowo-przemysłowych rzutkość i sprawność niepowzednią.

Już dzisiaj, po upływie kilku zaledwie miesięcy, ludność polska wschodniej Galicji potrafiła *praktycznie* przystosować się do okoliczności i do warunków diametralnie dawnym przeciwnych i tak bardzo, tak rdzennie dla siebie obcych.

Alé jest to przystosowanie się w znacznej mierze — potencyalne.

Głowy się orjentują, ręce i ramiona gotowe są do wysiłków najcięższych, lecz środków niema, kieszenie bądź puste, bądź strasznie wyniszczone, na każdym kroku chęć, energia, pomysł, lub zamierzenie rozbija się o niemożność stworzenia i zaprowadzenia warsztatów pracy.

Na każdym kroku — brak kapitału.

I na każdym kroku nie tylko ogromna trudność, lecz i prosta zgola niemożność jego wydostania.

Czy jest to faktyczny, realny brak gotówki *u nas*?...

Sądźmy, a raczej jesteśmy pewni, iż rzecz ma się odwrotnie.

Tylko, że my wszyscy i akcję ratunkową, i nasz obowiązek względem kraju i wspólnej przyszłości taktujemy, jak dotąd, arcyjednostronnie.

Jest to, jak dotychczas, piękny, szlachetny, bogaty i rozlewny — samarytanizm.

Dziesiątki tysięcy ludzi śpieszy z datkami; tysiące ludzi dobrej woli oddają sprawie ratownictwa swój czas

i pełną rzetelną poświęcenie energie. Lecz na tem cały nasz wysiłek się kończy.

Nic ponadto...

O rozumnej akcji polskiego kapitału, *który jest*, i który mógłby stwarzać rzeczy nadzwyczajne i dla siebie, i dla kraju, i dla łaknących zarobku, i dla ogółu naszej polskiej całości — nie słyhać.

Stary grzech, stara niezaradność, stare lenistwo.

A „kapitały polskie” to nie są wyrazy bez treści. Tu, u nas, na kresach, posiadamy ich więcej, aniżeli wogóle się przypuszcza. Tylko, że spoczywają one w bezwładnem zamknięciu, w bankach; tylko, że są skrupowane przez odwieczne narowy, stanowiące mierzwę dla... bogactw i przewagi żydowskiej.

Dawne dzieje, które bogdajby się nie powtórzyły w tych czasach nowych, które dla wszelkiej opieszalności i bezradnego tchórzostwa bodaj czy nie są chwilą — ostatnią. Bo koła życia przed progiem naszych „cichych domostw” nie przystaną i fatygi obejścia przeszkód na drodze leżących nie podejmą... Z niemi — lub pod niemi...

Musimy zrozumieć, że klęska spadła na nas potworna i że tylko wysiłek ją *przerastający* może jej skutki zrównoważyć. Wszystko dokoła wali się i przetwarza — musimy więc przeszacować i przetworzyć i naszą „miłość ojczyzny”, musimy uznać, że środki wykonawcze rozumnego patriotyzmu nie tylko w pochwie szablic, lecz i w naszych „kasach” spoczywają i że, gdy w pewnych chwilach szabla w pochwie jest grzechem, w innych martwota kapitału przeciwko tablicom przykazań narodowych wykracza...

RAPTULARZ HISTORYCZNY.

Dlaczego Litwa i Ruś świętują nie razem z Królestwem?

W r. b. Zielone Świątki w całym zaborze tutejszym obchodzimy jednocześnie; najczęściej jednak Królestwo świętuje wcześniej, niż Litwa i Ruś: o tydzień, o dwa, a czasem, jak np. w r. z., o 5 tygodni.

Warto sobie przypomnieć, dlaczego na naszych kresach wschodnich obowiązuje w Kościele kalendarz stary?

Do drugiej połowy w. XVI cały świat chrześcijański znał tylko kalendarz Juljański, opracowany za Juljusza Cezara i jego imieniem ochrzczony.

Papież Grzegorz XIII (1572—85) zaaprobował poprawkę w dawnym kalendarzu, dokonaną przez astronoma Liliusza w r. 1582 i zalecił ją wszystkim krajom i ludom.

Pierwsze dały posłuch kraje katolickie: część Włoch, Hiszpanja i Portugalia, które już w r. 1582 zastąpiły kalendarz dawny nowym, który nazwano Gregorjańskim. Tej zmiany dokonały niebawem u siebie: Francja, katolickie części Szwajcarii i Niderlandów, tudzież ces. Niemieckie (dziś Austria).

W Polsce nowy kalendarz wprowadzono w r. 1586, za Stefana Batorego, na parę miesięcy przed śmiercią w Grodnie tego wielkiego króla naszego.

Protestanci przez czas długi nie chcieli uznać kalendarza Gregorjańskiego: woleli trwać w błędzie, niż uznać poprawkę, dokonaną przez Głowę Kościoła Katolickiego. Zaciekłość kacerska górowała po nad wszystko.

Dopiero w końcu r. 1700 zdecydowali się protestanci niemieccy na zmianę kalendarza, przyczem jednak nie nazywali stylu nowego Gregorjańskiego, lecz... „poprawionym”. Opór protestantów niemieckich oddziaływał i na inne kraje ewangelickie, dzięki czemu kalendarz Gregorjański dopiero w r. 1701 przyjęła Szwajcaria protestancka, w r. 1752 Anglja, oraz w r. 1753 Szwecja. Ludy obrządku wschodniego nie uznały całkiem kalendarza nowego.

Wkrótce po pierwszym rozbiórce Polski Katarzyna II dokładała wszelkich starań w Rzymie, aby w wojewódz-

twach: Mścisławskiem i Połockiem, tudzież w Inflantach Polskich, zabranych już w r. 1772, przywrócić w Kościele katolickim kalendarz z przed lat dwustu, w czym jej bardzo pomagał osławiony renegat Sierżeniewicz, późniejszy arcybiskup mohilewski. Wobec stanowczej odmowy papieża Klemensa XIV, zabiegi te wznowiono dopiero przy jego następcy, Piusie VI. Łudzony obietnicami dużych ustępstw na rzecz ludności katolickiej w ziemiach polskich, zagarniętych przy dwóch pierwszych rozbiórach Polski, Pius VI zgodził się na zamianę nowego kalendarza na stary (r. 1797).

Ludność inowacji tej nie uznała i po dawnemu świętowała podług kalendarza Gregorjańskiego, potem zaś obchodziła święta, szczególnie Wielkanocy, obu stylów, rozpróżniając się coraz bardziej.

W r. 1812, po wkroczeniu na Litwę wojsk Napoleona I w jego pochodzie na Moskwę, nowy styl przywrócono ponownie. Trwało to jednak tylko do końca tegoż roku: w Grudniu r. 1812 zaczął obowiązywać na Litwie stary styl, odtąd już niepodzielnie, chociaż ludność miejscowa aż do wojny polsko-rosyjskiej r. 1831-go nie zgodziła się z nim wcale, obchodząc wszędzie święta podług nowego stylu lub podwójnie, wbrew kalendarzowi Juljańskiemu, obowiązującemu urzędowo i Kościoł katolicki.

Po przyłączeniu do Rosji Obwodu Białostockiego¹⁾ stary styl rozszerzono i na te ziemie nadbużańskie.

Al. Ł.

¹⁾ Po pogromie prusactwa przez Napoleona I pod Jeną zwolano, jak wiadomo, kongres w Tyłży, w Prusach wschodnich (r. 1807), na którym cesarz Francuzów z ziem polskich, wydartych Prusom, utworzył Księstwo Warszawskie, potem zaś Obwód Białostocki (z części b. województwa Podlaskiego, koronnego). Obwód B., podarowany Rosji, przetrwał do r. 1842 w składzie powiatów: białostockiego, bielskiego (Bielsk), sokólskiego i drohicznego, dziś nie istniejącego. W r. 1842 Obwód B. wcielono do gub. grodzieńskiej.



Widok stacji selekcyjnej i hodowli nasion.



Pracownia botaniczna.

DOBRA BIAŁOCERKIEWSKIE HR. MARJI BRANICKIEJ.

Stacja selekcyjna została założona w 1914 r. Zadaniem Stacji jest selekcja pszenicy, buraków cukrowych i owsa. Na drodze hodowli genealogicznej, stosowanej od początku założenia Stacji zostały wyprowadzone pszenice: Białocerkiewskie genealogiczne №№ 45 i 100 (wedł. ks. rodowodowych) jedna i druga stanowią czyste linie. Pierwsza (45) o białym kłosie — oścista (*Trit. erythrospermum*), pochodzi z zaaklimatyzowanej banatki, druga (№ 100) czerwono-kłosa oścista (*Trit. ferrugineum*) z miejscowej ukraiński. Odmiany powyższe różnią się między sobą morfologicznymi cechami jak i fizjologicznymi własnościami: № 45 wcześniej dojrzewa ma i stosunkowo większe wymagania co do gleby — № 100 później dojrzewa i daje zupełnie zadawalniające plony w gorszych stanowiskach płodozmennych. Obydwie odmiany w wysokim stopniu są odporne przeciwko wymarzaniu i poleganiu.

Selekcja buraków cukrowych początkowo dotyczyła masowego uszlachetniania miejscowej odmiany typu Kl. Vanzleben — jednocześnie prawie zapoczątkowano hodowlę buraków rodzinami i na tej drodze otrzymano kilkadziesiąt ras, z których rasa 1207 jako najlepsza od dłuższego czasu w Dobrach B. C. jest w uprawie i rozmnożeniu. Operując rodzinami wypróbowanymi pod

względem stałości typu i poluryzacji przez krzyżowania otrzymano liczne rasy, z których 1280, 1255 i znacznie przewyższają polaryzacją istniejące uprawne odmiany i cechują się zarazem o wiele krótszym okresem wegetatywnym — czyli wcześniejszą dojrzałością. Roczna produkcja nasion buraków cukrowych w Dobrach B. C. wynosi 80 — 90 tysięcy pudów — nasion Elity I — 400 pud.

Co do selekcji owsa to z miejscowych zaaklimatyzowanych odmian, otrzymano na drodze hodowli genealogicznej czyste linie №№ 32 — 13 — 14 będące w rozmnożeniu i szerszej uprawie.

№№	13	32	14
Waga hektarowa w kg.	49,5	50,1	52,1
„ absolutna (1000 ziarn) w gl.	35,2	50,1	52,1
% łuski nasiennej	29,2	26,9	28,4

Plony z 1 dziesięciny w pudach	{	z porównawczych danych			
		polowych . .	143	142	172
		I rozmnożenie	166	142	163
		II rozmn. materiał użytkowy	163	162	167

Kierownik Stacji **Józef Skrodzki**.



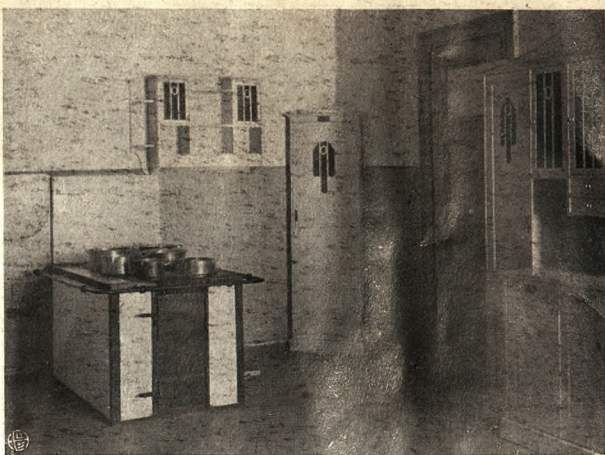
Sala selekcji buraków.



Sala selekcji zbóż.



Jeden z pokoi w pensjonacie „Hygjena”.



Kuchnia w pensjonacie „Hygjena”.

PENSJONAT POLSKI „HYGJENA”

w KIJOWIE.

MERYNGOWSKA 4.

Często słyszymy od osób, zmuszonych do wyjazdu z domu na pewien krótszy lub dłuższy czas, że nietylko nużą je niewygody podróży w wagonie kolejowym, ile pobytu w hotelach.

Zwłaszcza dla osób przyzwyczajonych do normalnego, spokojnego, cichego życia na wsi — zamieszkanie choćby czasowe w hotelach jest czymś o czym się myśli wprost z odrazą! Ten bezustanny ruch na korytarzach, to liczne i gwarne sąsiedztwo ludzi różnych narodowości, sfer, zawodów, wymagań, upodobań i przyzwyczajęń, te denerwujące alarmy dzwonek na służbę, gorliwie asystująca przy wyjeździe, lecz stale nieobecna podczas pobytu gości, to nieliczenie się z indywidualnymi potrzebami jednostki ludzkiej, zniewołonej zamknąć swe życie w obrębie większej lub mniejszej klatki, zwanej „numerem” — wszystko to ujemnie oddziałują na ustrój nerwowy nawet tych, co podróżują stale.

Hotel bowiem, choćby pierwszorzędny, urządzony z największym przepychem, z zastosowaniem wszelkich udoskonaleń technicznych w tej dziedzinie budownictwa nie może mimo wszystko zapewnić ciszy i spokoju, gdyż w gmachu, podzielonym na kilkadziesiąt pokoi jest to wykluczone.

Zrozumiano to oddawna zagranicą, gdzie obok tętniących ruchem hoteli powstają zaciszne pensjonaty, obliczone na niewielką ilość przyjezdnych, zapewniające swojej klienteli — obok wszelkich wygod nowoczesnych — pobyt, pozbawiony piętna hotelowości.

Na takich pensjonatach był wzorowany nowo utworzony w Kijowie pensjonat polski „HYGJENA”, mieszczący się w domu pod № 4, zbudowanym według wszelkich wymagań współczesnego budownictwa, przy ulicy Meryngowskiej.

Powyższa ulica leży w centrum miasta, tuż obok Kreszczatyku, z którym łączy ją ulica NIKOŁAJEWSKA i Annienkowska (Luterańska), oraz pasaż Tow. Asekur.

„ROSSIJA”, dzięki jednak temu niewielkiemu oddaleniu od głównej arterji Kijowa, należy ona do niewielu ulic, pozbawionych zgiełku i turkotu, tych plag każdego dużego miasta.

Dwadzieścia pokoi wytwornie umeblowanych, utrzymanych we wzorowej czystości i zaopatrzonych we wszystkie wygody nowoczesne, piękny salon wspólny do przyjęć, spędzenia kilku chwil przy fortepianie lub na przejrzeniu licznych pism i wydawnictw zarówno polskich jak i zagranicznych, biblioteka, posiadająca wybór dzieł beletrystycznych — wszystko to ma na celu zapewnienie przyjezdnym przyjemnego pobytu w warunkach noszących cechę gościnności w domu prywatnym, gdzie troskliwy gospodarz dba o to, aby każdy pod jego dachem czuł się „jak u siebie”, nie będąc krępowany w swoich nawyknięciach, wymaganiach i upodobaniach, nie wychodzących poza granicę przyjętych form towarzyskich.

Osoby, korzystające z pensjonatu „HYGJENA” mogą mieć na miejscu całodzienne utrzymanie, przyczem obiad w sali wspólnej, lub na żądanie podawany do pokoju. Kuchnia wykwinna, wszystkie potrawy wyłącznie z produktów wyborowych.

Zarząd pensjonatem spoczywa w doświadczonych rękach pani Marji Radomyskiej, która dąży, aby przyjezdnych otoczyć opieką troskliwą i dbałością o ich wygody, stosując się do ich życzeń i wskazań.

Szczególną uwagę zwrócono na dobór służby, wyszkolonej w swoim zawodzie.

Pokoje w pensjonacie „HYGJENA” mieć można w cenie od rb. 1 kop. 50 i wyżej na dobę, całodzienne zaś utrzymanie w cenie rb. 2 od osoby.

Nie wątpimy, że pensjonat „HYGJENA” w krótkim czasie zdobędzie stałą klientelę, co z jednej strony zapewni pensjonatowi trwałą egzystencję, z drugiej zaś wpłynie na wytworzenie w nim sympatycznej atmosfery jednolitości towarzyskiej.

BANK

TOW. WZAJEMNEGO KREDYTU
„SAMOPOMOC”
 w KIJOWIE, Kreszczatyk Nr. 48.

Adres telegraficzny „SAM”

R-ek przekaz. w Banku Państwa № 15406.

Telefony: 46-25
23-49

Wykonuje: dyskonto weksli, inkaso i przekazy na wszystkie miejscowości Cesarstwa i Królestwa; pożyczki pod zastaw narzędzi i maszyn rolniczych, frachtów kolejowych, kwitów Towarzystw transportowych, pokwitowań Ministerjum Wojny, Marynarki, Dróg i Komunikacji, Intendentury, Upraw Ziemskich i t. p. asekuruje pożyczki premjowe od amortyzacji.

Przyjmuje wszelkie polecenia, przekazy inkaso i t. p. mając bezpośrednie stosunki z tamtejszymi instytucjami kredytowymi.

Przyjmuje kapitały na rachunek bieżący i lokatę i płaci do odwołania:
 4 — 4½% na rachunku bieżącym i od drobnych oszczędności*);
 5 — 5½% od lokat na termin 6 miesięczny.
 5½ — 6½% „ „ „ 12 „ i dłużej.

*) Dla drobnych oszczędności Bank posłada spec. kasetki.



F. WORONIECKI ROK ZAŁOŻENIA
 WARSZAWA, CZYSTA 2 1866
 POLECA
 W WIELKIM WYBORZE
ZEGARY, ZEGARKI
Delikatne Łańcuchy
 MODNE BRANSOLETY Z ZEGARKAMI
 PRZY MACZYNIU
 PRACOWNIA PRECYZYJNYCH ROBÓT ZEGARMISTRZOWSKICH

WIELKI SREBRNY MEDAL
 NA WSZECHROSYJSKIEJ WYSTAWIE
 w 1913 roku w KIJOWIE.

DOM HANDLOWY

HOLTEN i BĄDARZEWSKI

KIJÓW, Kreszczatyk 35

RYGA, Następcy Tronu 23

Adres dla depesz: „TRIFOL”

KUPNO: wszelkich nasion traw pastewnych, głównie: koniczyny, lucerny, tymoteuszu, wyki, etc.

SPRZEDAŻ: wszelkich nasion przekontrolowanych na stacji doświadczalnej w Dorpacie (Jurjew) traw pastewnych, polnych i łąkowych, oraz roślin okopowych z własnych plantacji, jak również Duńskich traw pastewnych, roślin okopowych i zbóż selekcyjnych.

Jeneralne Przedstawicielstwo na całą Rosję i Królestwo Polskie:

Towarzystwa Akcyjnego
„TRIFOLIUM”
 w Kopenhadze (Dania).

Dom Handlowy
NIECZUJA-WIERZBICKI i BRZEZIŃSKI
 Kijów, Puszkina 11
 REPREZENTUJE NAJSTARSZĄ W KRÓLESTWIE
Hodowlę Nasion buraków
cukrowych
WŁADYSŁAWA MAYZLA
 w BRZOZÓWCE, gub. Kielecka.

KIJÓW, ul. Puszkina Nr. 11, telefon 46-44.

Narczyz Gieryn

Księgarnia Polska

Czytelnia Naukowa i Beletrystyczna

Otrzymuje co tydzień wszelkie nowości wydawnicze.
 Wysyłka na prowincję za zaliczką.



„RUSSIEM”

TOWARZYSTWO PRODUCENTÓW I KONSUMENTÓW NASION BURAKÓW CUKROWYCH
Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej gubernii

ZARZĄD w KIJOWIE

PROREZNA № 26, m. 17. Telefon № 38-59.

Telegramy „KIJÓW RUSSIEM”.

Biuro otwarte w dniu powszednie od 9-ej do 1-ej i od 3-ej do 6.

Wielki medal srebrny Głównego Zarządu Rolnictwa i Urzędzeń Rolnych na Wszechrosyjskiej Wystawie 1913 r. w Kijowie **za wzorowo prowadzoną selekcję i nasiona.** Na nadchodzący sezon Towarzystwo proponuje nasiona buraków cukrowych „RUSSIEM” typu „Klein Wanzleben” własnej selekcji i hodowli.

Gwarancja najwyższych norm jakich nie daje żadna firma **kiełkowanie 90—95%, obcych domieszek nie wyż. 1% wilgoci nie wyż. 15%. Nasiona oczyszczone nadzwyczaj starannie na 3^m/m siła.**

NASIONA MATECZNE NA WARUNKACH LICENCJI. WIELOLETNIE UMOWY.



F. BIAŁOSKORSKI

(BIURO AGRONOMICZNE)

KIJÓW, ul. NOWA № 3. TELEFON 26-86.

NASIONA

WARZYWNE I KWIATOWE.
ROLNE I ŁĄKOWE.
PASTEWNE I OKOPOWE.

W WYBOROWYM GATUNKU,
Z GWARANCJĄ KIEŁKOWANIA

CENNIKI NA ŻĄDANIE FRANCO.

ODDZIAŁ KIJOWSKI
INSTALACJI TELEFONICZNYCH

INŻ. E. A. ENGLUND w MOSKWIE,
który przeprowadzał przeróbkę nowej Kijows. sieci telefonicz.

**INSTALUJE DODATKOWE
TELEFONICZNE APARATY**

wyłącznie odpowiednie do systemu nowej stacji.

ZUPEŁNA GWARANCJA URZĄDZENIA.

Równoległe złączenie, jako nieodpowiadające nowemu systemowi zupełnie wykluczone.

KOMPLETNA NIEMOŻLIWOŚĆ PODSŁUCHIWANIA.

Przyjmują się zobowiązania na przeprowadzenie komunikacji telefonicznych i instalacji Ziemskich, Miejskich, Fabrycznych, udom. stacji.

Sprzedaż komutatorów telefonicznych, aparatów i wszelkich bez wyjątku materiałów potrzebnych przy instalacji sieci i stacji telefonicznych, jak również komutatorów i aparatów centrali elementów dla Kijowskiej Miejskiej sieci telefonicznej

po cenach fabrycznych.

Szczegółowe informacje listownie i osobiście wydają się codziennie (prócz dni świątecznych)

w BIURZE, BULWAR-BIBIKOWSKI 5 m. 27.

od godz. 9 rano do 5 pp. TELEFONY: 30-69 i 28-38.

Na żądanie klientów inżynierzy i mechanicy udają się na miejsce dla szczegółowych informacji.